Rok XXV. We Lwowie, dnia 4. października 1918. Nr. 40.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 27·— K
półroczna . 14·— „
kwartalna . 7·— „
Numer pojedynczy kosztuje 50 hal.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. PECHNIK, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 40 h. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

„Logos i Ethos“.

(Dokończenie).

Kierunek, o którym jest mowa, w dziedzinie chrześcijańsko-religijnej znalazł swój wybitny wyraz w rozmaitych formach protestantyzmu, począwszy od kierunku ortodoksyjnego, aż do najskrajniejszego zniwelowania w dzisiejszym protestanckim liberalizmie, a filozofem tego kierunku słusznie nazywają Kanta. Tam krok za krokiem opuszczano trwały grunt objektywnej prawdy religijnej, przekonanie osobiste czyniąc coraz bardziej sprawą subjektywnego sądu, uczucia i przeżycia. W ten sposób prawda z trwałych granic objektywności przesuwała się w dziedzinę subjektywnej fluktuacyi. Człowiek wierzący w protestantyzmie w gruncie rzeczy nie miał „prawdziwej wiary“, lecz tylko „przeżywał“ [1]) wiarę i czuł się osobiście przejętym i wzruszonym tem, co ta wiara za treść swoją podawała: dlatego jedyną trwałą podstawą religijną był już tylko dowód prawdziwego ducha w odpowiednim czynie [2]), a nie jakaś treść wierzeń, którąby można było uczynić przedmiotem wyznania. Ale to już oznaczało zerwanie związku z tem wszystkiem, co jest po nad czasem, co jest wieczne. Bo o metafizyce religijnej we właściwem tego słowa znaczeniu już tutaj nie mogło być mowy. Protestant wierzący już nie tkwił w wieczności, lecz tylko w doczesności, a wieczność z doczesnością miała tylko tyle kontaktu, ile go dostarczało pośredniczące usposobienie, uczucie: nastrój. Religia skutkiem tego całą swoją istotą zwracała się coraz bardziej do świata, do ziemi, świecczała coraz więcej, świat stawał się w coraz wyższym stopniu jej właściwą domeną; pojęcie religii wyczerpywało się coraz bardziej w tem, że wystarczy podkreślać tylko religijny charakter i uświęcenie doczesnej działalności, wystarczy przyozdobić życie ludzkie w jego różnych fazach nastrojem religijnym, wystarczy pracy zawodowej i życiu państwowemu dodać namaszczenia religijnego, a nic więcej nie potrzeba do istoty religii.

Ale kto na to wszystko patrzał przez czas niejaki, ten nie może nie czuć, jak bardzo niezdrowym jest cały ten sposób myślenia i jak się on sprzeciwia najwyższym prawidłom bytu i duszy. Sposób ten jest nieprawidłowy i dlatego niezdrowy i przeciwny naturze w najistotniejszem znaczeniu słowa.

Tutaj należy szukać właściwego źródła straszliwej nędzy naszych czasów. Ten to sposób myślenia wywrócił święty naturalny porządek rzeczy. Goethe doprawdy dotknął właściwej bolączki, gdy wątpiącemu Faustowi kazał powiedzieć: „Na początku był czyn“ — zamiast: „Na początku było Słowo“.

Przez to bowiem, że punkt ciężkości życia z dziedziny poznania przerzucono w dziedzinę woli, z logosu do ethosu, życie samo zawisło w powietrzu.

Zażądano od indywidualności, żeby stanęła o własnych siłach. Ale tego dokonać może tylko ta wola, która sama jest pierwiastkiem twórczym w absolutnem znaczeniu słowa, a takim pierwiastkiem jest tylko wola Boża [1]).

Tym sposobem stawia się człowieka na stanowisku, na którem przypuszcza się, że on jest Bogiem. A ponieważ nim nie jest, dlatego w istotę ludzką wchodzi jakby kurcz duszy, jakby wewnętrzny gest bezwładnej i bezsilnej gwałtowności, która działa czasem tragicznie, a na mniejszych postaciach groteskowo, a nawet śmiesznie. To całe skierowanie dzisiej-

[1]) Wyraz ten, który chciałby być ekwiwalentem słynnego „erleben“, nie zupełnie oddaje to, co dotyczący autorowie przezeń chcą wyrazić. Ob. broszurkę p. Ł: „Chrystusa opowiadajcie“ (por. „Gazeta kościelna“ Nr. 28) str. 332, gdzie sprawa jest dokładniej wyłożona.

[2]) Osławiona to formułka protestancka: „Erweis des rechten Geistes durch die rechte Tat“.

[1]) Rozum jednak już stwierdza, że Bóg jest i rozumem i dobrocią zarazem, a nie tylko absolutną wolą, a co rozum poznaje, to potwierdza Objawienie, jak wogóle w każdem poznawaniu religijnem, ucząc nas, że „pierwszym“ procesem w Trójcy jest rodzenie Syna przez poznawanie Ojca, a dopiero „drugim“ procesem (oczywiście w znaczeniu logicznem, nie czasowem) jest tchnienie Ducha Świętego przez miłość Ojca i Syna.

szej umysłowości na pole woluntaryzmu ponosi winę, że człowiek dzisiejszy tak bardzo jest podobny do ślepego, który chodzi po omacku, bo zasadnicza władza, o którą oparł życie, czyli wola, to władza ślepa. Wola może działać, chcieć i tworzyć, ale ona nie może widzieć. Stąd też płynie ów brak spokoju i pokoju, który sprawia, że człowiek dzisiejszy nigdzie nie może znaleźć oparcia i cichego dla siebie kąta i przystani. Nic nie trwa, nic nie stoi twardo i niewzruszenie, lecz wszystko się zmienia i życie jest wiecznem stawaniem się, nieustannem zaczynaniem, wiecznem dążeniem, ciągłą wędrówką i niespokojnem szukaniem.

Religia katolicka temu duchowi sprzeciwia się całą siłą. Kościół prędzej i łatwiej przebaczy wszytko inne, aniżeli napaść na prawdę. Kościół wie, że jeżeli ktoś błądzi, ale nie tyka prawdy, pierwiastka, zasady, to jeszcze może się zoryentować i wrócić. Jeżeli jednak rzuca się na zasadę, to sam uświęcony porządek życia zostaje wyrwany z zawiasów. Kościół też zawsze z wielką nieufnością spoglądał na każde etycystyczne pojmowanie prawdy, dogmatu. Każda próba uzasadnienia prawdziwości dogmatu za pomocą jego użyteczności i wartości życiowej jest wewnętrznie niekatolickiem poczynaniem. Kościół podaje nam prawdę czyli dogmat jako fakt absolutny, spoczywający sam w sobie, a nie potrzebujący, żeby go uzasadniano argumentami z dziedziny etyki, albo zgoła praktyki. Prawda jest prawdą, bo jest prawdą. Właściwie dla niej jest to całkiem obojętne, co wola na nią powie i czy z nią co może począć lub nie. Wola przy konstytuowaniu prawdy nie ma nic do czynienia, a prawda nie potrzebuje się przed wolą legitymować, lecz wola winna wobec prawdy uznać swoją zupełną niekompetencyę. Wola prawdy nie stwarza, lecz ją znajduje. Wola winna uznać, że jest ślepa i że potrzebuje, by jej prawda przyświecała, nią kierowała i użyczała jej swej mocy porządkującej i kształtującej.

Z chwilą uznania prymatu poznania nad wolą, logosu nad ethosem, wraca podstawowy warunek zdrowia duszy. Bo dusza potrzebuje absolutnie trwałego, objektywnego gruntu, na którymby mogła spoczywać. Dusza potrzebuje momentu, na którymby się mogła dźwignąć sama ze siebie, potrzebny jest dla niej punkt poza nią samą, a tym punktem jest tylko prawda! Poznanie prawdy objektywnej jest podstawowym aktem wewnętrznego oswobodzenia:

„Prawda oswobodzi was“ (Jan 8, 32). Bo afirmacya prawdy jest czysto bezinteresowna i to istotnie i natychmiast, podczas gdy akt woli jest także pożądaniem, i tylko powoli przeradza się w bezinteresowne posłuszeństwo i czystą miłość. Dusza potrzebuje takiego wewnętrznego nastawienia, żeby kurcz woli ustał, niepokój dążenia przycichł i krzyk pożądania zamarł: to zaś nastawienie wewnętrzne duszy dokonywa się za pomocą aktu, którym myśl poznaje prawdę i umysł milknie przed jej majestatem.

Dogmat, czyli fakt absolutnej prawdy, która oto stoi przed człowiekiem i nie pyta o żadne uzasadnienie praktyczne, niewzruszona i wieczna, to przecież coś niewypowiedzianie cudownego! Jeżeli dogmat przystąpi cokolwiek bliżej do umysłu ludzkiego w godzinie szczęśliwej, to rodzi się w człowieku uczucie, że się zetknął z tajemniczą rękojmią zdrowia całego świata i zdaje się mu, że widzi przed sobą dogmat jako strażnika wszelkiego bytu, jako prawdziwą i rzeczywistą opokę, na której spoczywa wszystko. „Na początku jest słowo, logos!“

Dlatego prawdziwie zdrowe życie spoczywa na nastrojach kontemplacyjnych. Niechby sobie wola, ruchliwość, czynność, dążenie, badanie, szukanie były rozbudzone nie wiem w jak wysokim stopniu, zawsze one muszą opierać się na toni i głębi spokojnej i cichej, która spogląda ku wiecznej niezmiennej prawdzie. To jest sposób życia i myślenia, to jest usposobienie, tkwiące w wieczności. Tu jest pokój. Tu jest to wewnętrzne ukojenie, uciszenie i zrównoważenie, które świadczy o zwycięstwie nad życiem; nie zna ono pośpiechu i gorączkowego uwijania się, ono ma czas, może czekać i pozwolić, żeby dokoła wszystko rosło i rozwijało się spokojnie.

To też jest nastrój i sposób myślenia iście katolicki. A chociaż prawdą jest, że katolicyzm pod niejednym względem w stosunku do innych wyznań jest „zacofany“ — niech i tak będzie — „transeat“! Ale on nie mógł brać udziału w szalonej gonitwie rozpętanej woli, wytrąconej z porządku odwiecznego. Za to zachował on sobie i uratował dla siebie i dla świata coś nieskończenie cenniejszego, czego niczem zastąpić nie można i za coby mu umysłowość niekatolicka oddała wszystkie swoje skarby, gdyby się na tem poznała, a tem jest prymat logosu nad ethosem, z nim zaś harmonia i zgodność z niezmiennemi prawami wszelkiego życia.

Chociaż w związku z powyższemi myślami nie było mowy o liturgii, to jednak wszystko było powiedziane o niej i dla niej. W liturgii logos dzierży właściwy sobie prymat przed ethosem. Stąd ten cudowny spokój i ta głęboka cisza, którą owiana jest liturgia. Dlatego to liturgia zdaje się wcale nie troszczyć o małe biedy i nędze codzienne. Dlatego tak mało dba o „wychowywanie“ i nauczanie cnoty. Liturgia ma w sobie coś, co przypomina gwiazdy na niebie, ich wiecznie te same drogi, ich niewzruszony porządek, ich niezamąconą głęboką ciszę, ich nieskończone przestrzenie. Ale to tylko tak się zdaje, że liturgia nie troszczy się o czyny i pragnienia i dążenia i moralny stan ludzi. Bo w rzeczy samej ona wie bardzo dobrze, że kto w niej żyje naprawdę, ten staje się prawdziwie i nadprzyrodzenie zdrowym i uspokojonym wewnętrznie — i gdy taki z jej świętych granic wyjdzie w świat i życie, to nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei.

X.

Asceza alumnów józefińskiego seminaryum generalnego o. ł. we Lwowie.

(1783—1790).

„Wychowanie sług religii i kierowników ludu na drodze do zbawienia“ nie zaś „nieużytecznych pustelników, albo oddających się jedynie życiu kontemplacyjnemu mnichów[1]) — oto naczelne zadanie, jakie spełnić miało seminaryum generalne.

Dwa czynniki, asceza i wyrobienie moralne, miały prowadzić do tego celu.

Przyznać należy, że przepisy seminarzyckie dają tym czynnikom poczesne miejsce w dziele wychowania alumnów, chociaż nie pierwszorzędne. Znacznie większy nacisk kładą one na wyszkolenie intellektualne, na naukę. I w tem przejawia się już zasadnicza różnica, jaka zachodzi między metodą wychowawczą kościelną a józefińską. Pierwsza, kierując się zasadą, że i największa nauka bez prawdziwej pobożności nie udoskonali kapłana, owszem może być dlań często nawet zgu-

[1]) Entwurf zur Einrichtung der Generalseminarien, str. 11.

bną, poświęcała i poświęca wyrobieniu ascetycznemu i moralnemu przyszłych sług Ołtarza zawsze pierwsze miejsce przed nauką, uważała bowiem i uważa studya teologiczne jako jeden ze środków duchowego wykształcenia tych, którzy mają się stać „drugim Chrystusem“, żywym wzorem doskonałości chrześcijańskiej. System józefiński natomiast wolał w pierwszym rzędzie kapłana wykształconego niż świątobliwego. Musiał zresztą z tego drugiego zrezygnować, skoro między środkami, które miały służyć udoskonaleniu wewnętrznemu alumnów, podawał także środki nieprzyjazne Kościołowi, jak lekturę dzieł duchownych gallikanów i jansenistów i skoro nie wahał się wpleść w przepisy dla kandydatów kleru katolickiego takie zdanie jak to, że życie kapłańskie nie polega „na czarnym surducie, tonsurze i celibacie“ [1]).

Stopień wyrobienia ascetycznego u dusz dążących do doskonałości, z reguły jest zależny od środków, jakie się doń stosuje, a są nimi ćwiczenia pobożne. Im doskonalsze środki, im większa ich liczba, tem bardziej uzasadniona nadzieja uzyskania wyższego stopnia doskonałości.

Byśmy zatem mogli stworzyć sobie obraz stopnia udoskonalenia wewnętrznego, jakiego od „sług religii“ domagał się józefinizm, musimy poznać bliżej środki, które w tym celu podawał.

Rozdział III. przepisów seminaryum generalnego, p. t. *Andachts- und Frömmigkeitsübungen* [2]) poświęcony jest właśnie tej sprawie.

Na wstępie rozdziału żądały przepisy, żeby wszystkie ćwiczenia pobożne w seminaryum generalnem były urządzone według „zasad i ducha prawdziwej pobożności“. Nie mogły zatem mieć miejsca w zakładzie ani „nabożeństwa ogonkowe, ani bigoteryjki, ani też te wszelkie rodzaje modlitw, które wynaleziono dopiero w późniejszych czasach chrześcijaństwa, kiedy to nabożeństwo stało się środkiem zarobkowania“ [3]).

Po tej, tak wiele już mówiącej uwadze, przechodziły ustawy seminarzyckie do omówienia poszczególnych praktyk religijnych alumnów.

Pierwszą i najważniejszą z nich, którąby kierowała wszystkiemi czynnościami wychowanka i dodawała im siły ożywczej, miało być ciągłe odświeżanie tej myśli, że ma on się stać użytecznym Kościołowi i państwu, że w przyszłości dołoży wszelkich sił, aby obie te społeczności „w należyty sposób“ służyły Bogu a ludzkość doprowadziły do prawdziwej doczesnej i wiecznej szczęśliwości. Pięknie uzasadniały też ustawy zalecaną praktykę, mianowicie, iż myśl taka, stojąca ustawicznie przed oczyma duszy alumna, uchroni go łatwo od ospałości i gnuśności, przy której każda praca wydaje się zbyt przykrą, a każdy trud nadto uciążliwym, a natomiast roznieci w młodem sercu święty zapał, dla którego i wielki ciężar będzie lekkim i miłym; dusze bowiem ożywione bezinteresowną miłością Boga i bliźniego nie dadzą się zrazić przeszkodami.

[1]) Tamże, str. 98.

[2]) Tamże, str. 17—25.

[3]) Według józefinistów te tylko ćwiczenia pobożne mogły być przez państwo uznane, które były „istotnemi“ częściami składowemi religii, a więc te, jakie znał Kościół w pierwszych swych wiekach; te zaś środki pomocnicze do wzniesienia się na drodze doskonałości chrześcijańskiej, które tenże dopiero w ciągu następnych stuleci podał swoim wiernym, jako „nieistotne“, miały być usunięte.

Ładne to słowa, bezsprzecznie. Ale zostały one takiemi, niestety, tylko w teoryi, nie przeszczepiono ich bowiem na grunt realny. By to nastąpiło, należało wpierw owiać młode serca gorącą miłością Boga i bliźniego; boć nie wielu kandydatów przynosiło te cnoty ze sobą w mury seminarzyckie. Trzeba było starać się naprzód odpowiednimi środkami, wytworzyć w sercach młodzieży duchownej ten święty nałóg a nie przyjmować go z góry, jak to czyniły przepisy. Te zaś środki, które one podawały, nie wystarczały po temu.

Odnośnie do poszczególnych ćwiczeń duchownych, przeznaczały ustawy codziennie pół godziny na wspólne modlitwy poranne, czytanie „budującej książki“ i rozmyślanie. Ćwiczenia te odbywały się w naszem seminaryum, z braku odpowiedniej sali, w jadalni. Po modlitwach ustnych, które nie mogły przeciągać się poza kwadrans, gdyż przynajmniej tyle czasu żądały przepisy dla dwóch innych ćwiczeń, następowało czytanie ustępu z książki duchownej, w pierwszym rzędzie zalecony był N. Testament, a przeczytana materya dostarczała przedmiotu do rozmyślania.

Po medytacyi słuchali alumni w kościele seminarzyckim cichej mszy św. odprawianej przez jednego z XX. przełożonych.

Przed udaniem się na nocny spoczynek gromadzili się znowu w refektarzu, celem odprawienia modlitw wieczornych i rachunku sumienia.

Na rozmyślanie i rachunek sumienia kładły przepisy, całkiem słusznie, wielką wagę. „Na to poranne, przed rozpoczęciem właściwych czynności dnia, i wieczorne, kiedy się te czynności skończyły, spokojne, niezamącone skupienie ducha, mają alumni — tak polecały ustawy — zwracać szczególniejszą uwagę, gdyż tego rodzaju skupienie przyczynia się niezmiernie do wzmocnienia i odnowienia dobrych intencyj i nadaje się w pierwszym rzędzie do tego, by użyczać człowiekowi coraz to nowych sił i podnosić go na duchu, co znowu czyni go bardziej ochotnym i pilniejszym w wiernem i gorliwem spełnianiu obowiązków swojego stanu. To są owe złote chwile, w których odrywamy się od rozprószenia, jakie niesie ze sobą towarzystwo ludzkie, aby je poświęcić ściślejszemu obcowaniu z Bogiem i z samym sobą“ [1]).

Spowiedź i Komunia św. obowiązywały alumnów raz na miesiąc. Częstsze przystępowanie do stołu Pańskiego było pozostawione każdemu do woli, za poprzednią jednakże zgodą wicerektora, któremu powierzona także była funkcya spirytualnego. Specyalnego kierownika duchownego, t. z. ojca duchownego, nie znały przepisy. Zalecały one również, by alumni u tegoż wicerektora odbywali spowiedź, nakazu jednak ścisłego w tym względzie nie było. Mieli oni zupełną swobodę wyboru z pośród zatwierdzonych spowiedników. W naszem seminaryum byli nimi z początku OO. Franciszkanie, później OO. Karmelici trzewiczkowi.

Przesadna, janzenistyczna surowość wyznaczyła tę miesięczną Komunię św. Bo skoro ówczesny podręcznik pastoralnej, którego o liberalizm w tym względzie bynajmniej podejrzywać nie można, a z którego uczyli się nasi seminarzyści, nie tylko pozwalał, ale nawet tych, „co rzadziej wpadają w grzechy powszednie, starają się o postęp w cnotach, płoną gorliwością ku temu sakramentowi“, zachęcał „do częstszej Komunii św., już to co miesiąc, już to co dwa tygodnie, już to

[1]) Tamże str. 20.

w każdej niedzielę i częściej",[1])to przedewszystkiem kandydaci stanu duchownego powinni byli być tymi, którzyby dążyli do doskonałości, a stąd jak najczęściej spożywali Ciało i Krew Pańską.

Wyznaczały również przepisy pewien czas na czytanie ksiąg duchownych Odbywało się ono przez godzinę w niedziele i święta. „Aby alumni nie zostali sprowadzeni na błędne drogi i nie nasiąknęli fałszywemi zasadami", pospieszyły ustawy nawet z podaniem spisu dzieł, z których seminarzyści mieli czerpać dla siebie pokarm duchowny. Dziwny był to katalog. Obok pisma św. i dzieł Doktorów Kościoła jak św. Bazylego, Augustyna, Grzegorza W., Bernarda i Franciszka Salezego, znajdowały się tam książki pisarzy gallikańskich, jak Muratori'ego, Fleury'ego, „pisma ku zbudowaniu" Bossueta i jansenistów Nicole'a i Dugueta Inne dzieła duchowne bez wyraźnego pozwolenia rektora były alumnom niedozwolone. Rektorowi zaś w wyborze „budujących książek" nakazano jak największą ostrożność, aby przypadkiem nie wkradła się do zakładu „asceza zakonna". Tej bowiem, ponieważ — jak twierdziły przepisy — „uczy bigoteryi i przesadnych cnót i prowadzi bądź do marzycielstwa, bądź do mizantropii, należy po wieki wzbronić wstępu do seminaryum generalnego"[2]).

W pierwszych latach odbywali alumni czytanie duchowne prywatnie. Od r. 1787. stało się ono publicznem. Dekret gubernium lwowskiego z 3. maja t r., stosując się do rozporządzenia cesarskiego, polecił rektorowi, iżby „dla większej korzyści alumnów" sam publicznie odczytywał, przynajmniej przez godzinę w niedziele i święta, ustępy z „ksiąg ku zbudowaniu". Wybór tych ksiąg był pozostawiony rektorowi do woli, z tem jednakowoż zastrzeżeniem, iż z końcem każdego roku szkolnego miał podawać do gubernium dla kontroli wykaz dzieł przeczytanych[3]).

Do „ksiąg ku zbudowaniu" zaliczały się również książeczki do nabożeństwa. I te były przepisane. Seminarzystom wolno było używać tylko takich, które zawierały wyjątki z Pisma św. i modlitwy przedrukowane z kościelnych ksiąg liturgicznych. Wszystkie inne były zakazane, gdyż mieściły w sobie „fikcye, przesadną cześć świętych, nie dające się udowodnić dla życia doczesnego i wiecznego obietnice[4]).

Nie zapomniały też ustawy seminaryum generalnego o nabożeństwach uroczystych. W miejsce codziennej cichej mszy św. nakazana była w niedziele i święta msza św. śpiewana z kazaniem. Zewnętrzna okazałość nabożeństwa miała być dostosowana do stopnia uroczystości święta. W te dni był również dozwolony wiernym wstęp na nabożeństwo w kościele seminarzyckim. Mszę św. odprawiał rektor w asyście alumnów. Kazania mieli wygłaszać kolejno alumni najwyższego roku, z tego względu, by się powoli praktycznie wprawiali do urzędu kaznodziejskiego Pożądanem także było, by od czasu do czasu wicerektor, a nawet rektor wstępował na ambonę

(Dok. nast.) *X. M. Tarnawski.*

---

[1]) Josephi Lauber: Institutiones theologiae pastoralis compendiosae, Viennae 1782[2], str. 208.

[2]) Entwurf zur Einrichtung der Generalseminarien, str. 22.

[3]) Archiw. lw. sem. duch. o. l. Nr. 11. pismo gubern z 3 maja 1787

[4]) Entwurf str. 23.

Księżom grunta odebrać!

Dużo już piszą o tem dzisiaj skrajne piśmidła! Nie nowe to hasło. Przed 25 laty agitowali w tym duchu socyaliści w „Prawie ludu" i „Naprzodzie" tak, jak „Piast", ich sojusznik, dzisiaj. Centrum katolickie robiło w tym czasie zabiegi o święcenie niedzieli. Wysłało prośby do ciał ustawodawczych, do urzędów parafialnych o podpisy, ażeby znaleźć poparcie swych szlachetnych celów.

Mówiąc o święceniu niedzieli, podniosłem potrzebę takich starań i prosiłem, żeby po sumie podpisali słuchacze podanie u organisty wyłożone. Organista wręczył mi po nieszporach papier z 20 podpisami, bo inni bali się podpisywać, gdyż to jakaś „podchyłka"! „Kiedy podchyłka, to podchyłka", powiedziałem na to i takie dałem polecenie organiście: „Na drugą niedzielę powie pan: podpisujcie no, żeby księżom grunta odebrać!" Znalazło się takich dwa razy więcej i to przeważnie ludzi, którzy na brak gruntów nie potrzebowali narzekać: na prośbie o święcenie niedzieli (której nie umieli przeczytać) podpisali nowe hasło. Przy najbliższej sposobności mówiłem o tej agitacyi i wykazałem jej szkodliwość nie tyle dla księży, ile dla samych katolików-parafian, albowiem:

1) Utrzymanie mają dać księżom ci, którzy ich chcą mieć — bez zapewnienia utrzymania ich nie dostaną.

To też zawsze tak było w społeczeństwach chrześcijańskich, że gdzie powstał kościół i przy nim osiedlano księdza, zapewniano mu byt przez oddawanie dziesięcin, mesznego i rozmaitych utenzyliów. U nas w Polsce dotacye na rzecz księży były obfite, składające się z gruntów, dziesięcin, odsypów. Wielu parafiom ciążyły daniny tak, że gminy same, chcąc się ich pozbyć, ofiarowały w zamian grunta księżom.

2) Jeżeli odbierzecie księżom grunta, — argumentowałem dalej – to powrócą inny daniny, żeby ksiądz miał życie ziemskie zabezpieczone. I nie państwo, nie rząd, który może być nie katolicki i Kościołowi wrogi, ale katolicy o utrzymanie księży troszczyć się muszą. Wszak widzimy, że rabini gruntów nie mają, a we wszystko obfitują. Mówią: „Pan Jezus nie miał gruntu, ani Apostołowie!" Tak — ale czy nie składano im ofiar i danin? — Przecież czytamy, że Judasz nosił worek i prowadził rachunki. A także czytamy w Ewangelii, że Pan Jezus powiedział uczniom: „Wszystkoście opuścili i poszli za mną, a czyż wam kiedy czego brakowało?" — „Niczego — Panie" odpowiedzieli. Niestety mybyśmy dziś tak nie mogli powiedzieć, choć mamy grunta.

Czasem i Apostołom głód dokuczał i wtedy mówi Ewangelia: „zrywali kłóska" i tak się żywili.

A czybyście wy dzisiaj na to pozwolili? Pewnieby ksiądz był wezwany na sądy gminne i ukarany za przekroczenie ustawy polowej — jako szkodnik!

3) Grunta plebańskie są większem dobrodziejstwem dla parafii, niż dla samego księdza. Praca na roli potrzebuje ludzi. Tych ksiądz bierze z parafii, daje im życie i odzienie jako służbie. Najmuje robotników i płaci. Jeżeli gruntu nie będzie miał, utraci wielu zarobek i będzie musiało szukać go gdzieindziej, może i za granicą. Jeżeli ksiądz nie może gospodarzyć, to wydzierżawia swą ziemię

i wtedy żyją z tych gruntów bezrolni, krórym chleb daje.

Hasło: „Księżom grunta odebrać“ wyszukali wrogowie Kościoła, masoni, którzy już to we Francyi uczynili. Odbierając księżom środki do życia, chcą się ich pozbyć, a „uderzysz pasterza, rozproszą się owce“ — najlepszy sposób szkodzenia Kościołowi i wiernym katolikom. Tylko krótkowidzący katolik — niemądry — za nimi to powtarza.

Dla księży grunta są pensyą. Na niej ciążą podatki większe niż wasze, które płaci się państwu. Ciążą potrzeby kościoła, potrzeby ubogich, które zawsze plebanie otaczają. Ciążą koszta odpustów, missyj i t. p. Dawniej przyczyniały się do tych kosztów parafie, — dla których dobra urządza się takie wesela duchowne, — dziś nikt o tem nie myśli.

4) Grunta plebańskie każą księżom zajmować się gospodarstwem, księdza robią wam podobnym gazdą, który z wami dźwiga ciężar dnia i upalenia, — cierpi to, co i wy — boli go to, co i was. I cóż za korzyść z tego dla was? Oto duszpasterz staje się wam doradcą i w potrzebach doczesnych. Jego działalność w spółkach, kółkach rolniczych jest wam bardzo pomocna. Dlatego na niego się oglądacie, bez niego nic nie przedsiębierzecie, obowiązki ciężkie przez wybór mu nakładacie. Czyżby księża mogli działać tak skutecznie, gdyby nie znając się na roli, na potrzebach rolniczego ludu, w tej dziedzinie nie nabrali „praktyki“?

5. „Odebrać księżom grunta a dać chłopom“! ci powiadają. Prawda, żeby się one chłopom przydały, bo swoje już tak podrobili, że liczne ich rodziny z tych kawałków wyżyć nie mogą! We wsi jeszcze ksiądz wygląda na kmiecia — inni to jak chałupnicy. — Ale spytam się was, czy i tych, coby wam dali jeszcze z plebańskich, nie podrobilibyście?

„Chłopu bieda“ powiadacie — ale ja wam powiadam, że od biedy nie uwolnią was grunta plebańskie, dopóki wy nie zerwiecie z trzema złodziejami, którzy was do biedy przyprowadzają! Jacyż to złodzieje?

a) Nieuctwo, nieporadność! Wielu nie zna najprostszych zasad rolnictwa, chowu bydła itp. Uczyć się nikomu nie chce. Do szkół rolniczych, które kraj założył, synów nie posyłacie. Książki rolniczej z czytelni nie weźmiecie do ręki. Na zgromadzenia kółek rolniczych nie uczęszczacie. Z postępowych gospodarstw wyśmiewacie się, więc skąd się weźmie jaki postęp? skąd środki zaradcze na biedę?

b) Lenistwo, niedbałość! Niektórzy mają drąga w krzyżach i boją się, żeby się nie złamał. Więcej stoją na zagonie, niż robią. Późno idą w pole — tam się wystoją — i siadają do jedzenia i pogadanki. Najemnicy oglądają się, czy gospodarz patrzy i robią dla oka („róbże, bo idzie“!).

Inni pół roku tracą na jarmarkach, na weselach, na chrzcinach, na wyborach, agitacyach, a gospodarstwo prowadzi żona, która rady dać nie może!

c) Lekkomyślność i rozrzutność. Zerwijcie z tymi złodziejami, a na tych gruntach, które macie, dorobicie się, wyżyjecie i drugich posilicie, nie oglądając się na grunta plebańskie.

Skutek wykładu był ten, że żaden z tych gospodarzy, którzy pod tem hasłem podpisy swoje położyli na prośbie o święceniu niedzieli, do roku nie śmiał się ze mną spotkać.

Dopiero gdy dwóch znalazło się przypadkiem w kancelaryi, zatrzymałem ich na dłuższą pogadankę.

„Coś wy do mnie cierpiecie, kochani gospodarze? Zauważyłem bowiem, że wy mnie wprost unikacie. Sumienie mi mówi, że przecież żadnej krzywdy wam nie wyrządziłem“. „Nie mamy żadnej urazy do Jegomości, jeno nas było wstyd, żeśmy podpisali: „Księżom grunta odebrać“ i usłyszeliśmy słowa prawdy tak, że inni z nas się śmiali — to nas bolało“! „Nie myślcie, żeście podpisali: „Księżom grunta odebrać“! Takiego podpisu wam nie podsunąłem, jenoście podpisali papier o święceniu niedzieli. Ponieważ byli tacy, ale nie wy, — co wołali: „nie podpisuj, bo to podchyłka“ więc zrobiłem podchyłkę i daliście się złapać na podpis. Nie tylko na was o to nie gniewam się, ale kontent jestem, żeście wilka z lasu wywołali, aby go ubić. Daliście mi sposobność do wyjaśnienia, przysłużyliście się dobrej sprawie. Powiadają, że niema złego, coby na dobre nie wyszło w rękach Opatrzności. Tak wasz podpis przyczynił się do utrącenia fałszywych proroków, którzy wołali za wrogami: „Księżom grunta odebrać“!

Rozeszliśmy się w najlepszej zgodzie i odtąd miałem w nich najlepszych parafian. *X. Pankracy.*

Z twórczości rewolucyjnej Gorkiego.

(Z przyczyn niezależnych od redakcyi nastąpiła przerwa w druku tej zajmującej rozprawy; — teraz podajemy ostatnie jej stronice w kilku jeszcze numerach »Gaz. Kośc.« — Dop. red.).

(Ciąg dalszy).

Do wsi, której mieszkańcy wygrażali obywatelowi krwawym obrachunkiem, przysłano rotę żołnierzy. Po chłoście, wymierzonej głównym winowajcom, chłopstwo uspokoiło się. Rota wszelako pozostała nadal we wsi. Celem przerwania nudów i bezczynności, jeden z żołnierzy zabawiał się łowieniem ryb na wędkę w młynówce. Podczas jednej z takich siest wieczornych nad wodą, zaznajomił się żołnierz z przyjaciółką miejscowej nauczycielki, która parę tygodni temu agitowała wśród robotników w mieście i uważała się za wcale doświadczoną w tem rzemiośle. Postanowiła tedy bez namysłu spróbować szczęścia wśród żołnierzy. Wszelako żołnierz-rybak rozumował trzeźwo:

— Chłopi zaczęli postępować gwałtownie — mówił — na przykład, dwór podpalali, siano spalili i ot — młyn — a to po co? Awdiejew mówi, że to dzikość, dlatego, że wszystko jest dziełem pracy rąk ludzkich, a ją trzeba szanować. Pracę, powiada, trzeba cenić, a nie niszczyć jej niepotrzebnie...

Panna Wiera wszelako nie dała za wygraną! Z zapałem naczęła mówić o występnej, cynicznej — jej zdaniem — sile, która celem obrony własnej podżega jednych ludzi przeciwko drugim, obudza w nich instynkty zwierzęce i posługuje się tymi ludźmi, jak kamieniami dla zabicia prostej i jasnej prawdy życia, tak potrzebnej wszystkim, prawdy, za którą tęskni całe ciężkie życie ludzkie, pełne złości i wycieńczenia krańcowego. Uderzyła wreszcie w strunę najsilniejszą tak, że żołnierz przemówił: — „Naturalnie, zdarza się, dobrzeście powiedzieli, ty idziesz uspakajać bunt, a w domu u ciebie swoi buntują się, no, tak! U nas w trzeciej rocie żołnierz z Saratowa omal nie zwaryował — przebił człowieka podczas buntu, a u niego w domu starszego brata zesłali na ciężkie roboty, a młodszego zasiekli, umarł, także za bunt — ot! Ty bijesz

tutaj, a twoich — w domu, i wszędzie — żołnierze! Kozacy także, ale kozak to obcy, prawie nie Rosyanin, w domu u niego niema buntu... A naszemu bratu jak? Sieczesz człowieka i myślisz — może ojca twojego teraz także sieką? Przecież i my jesteśmy ludźmi, panienko, a wy winicie nas, jakoby zwierzęta z nas były. No Boże mój! Jakie tam prawo, jeżeli ruski ruskiego bije na śmierć! Za to do więzienia pakują. Oczywiście, lud rozjuszył się, obywateli podpala i stąd nieporządek — a przecież, ziemi chłopu potrzeba! Ot, przyjdę ja do domu, a do czego przyjdę? Ziemi z bratem mam trzy i pół dziesięciny — a czyliż wystarczy ci ona? Brat ma dwoje dzieci. A jeśli, dajmy na to, ożenię się, także dzieci — i co będzie? Po jednej garści ziemi!"

Wszystko to jednak, co mówił, wydawało się Wierze egoizmem chłopskim i głupotą żołnierską. Słuchała tego wszystkiego obojętnie, z wzrastającem niezadowoleniem.

Z gorzkiej zadumy wytrąciło ją pojawienie się nad rzeczułką drugiego żołnierza Awdiejewa, który zachwiał wnet równowagę panienki zdaniem prostem, ale bardzo trafnem, kiedy zapytał, gdzie byli wówczas agitatorzy, kiedy obałamuconych przez nich rozstrzeliwano, dlaczego poukrywali się w takiej chwili?... „Przychodzili ludzie, podburzali człowieka i ukrywali się — to dlaczego? I mogę myśleć, że jest tak, kiedy im źle żyć — idą oni do nas, ciemnych ludzi, i mówią, wam również źle, spróbujmy razem wspólnemi siłami utorować drogę, żeby było łatwiej pójść wszystkim. Powiadają, wszystkim, a myślą — nam! I dopóki człowiek pracuje z nimi, to brat, a kiedy oni dopną swego — on im wrogiem"...

Ostatecznie postanowili żołnierze zejść się raz jeszcze z panną Wierą celem omówienia obszerniejszego tych rozlicznych palących zagadnień.

W obawie, iżby nie zostali podpatrzeni, za miejsce schadzki obrali skraj lasu. Siedząc w cieniu sosen, Wiera z niepokojem oczekiwała przybycia żołnierzy. Całą noc spała źle, cały dzień myślała o żołnierzach, to też teraz odczuwała zmęczenie umysłu, połączone z brakiem wiary w siłę przekonującą tego, co zamyśliła im powiedzieć. Chwytając nieposłuszne myśli, starała się ułożyć prostą mowę do żołnierzy, dobierała silnych, obrazowych słów, one wszelako nie kleiły się jakoś... A zarazem wzrastał w jej sercu strach przed głodnymi ciała kobiecego mężczyznami. Byłaby może uciekła, gdy w tem ukazało się przed nią kilku sołdatów. Było zapóźno... Przed nią na murawie siedziały w zwartem półkolu tęgie postaci mężczyzn, od których wionął zapach cebuli i potu. Teraz była osaczona i bezbronna, jak zając. Istotnie żołnierze przyszli po rozkosz fizyologiczną, nie duchową. I gdyby nie dzielna obrona Awdiejewa — panna Wiera byłaby padła ofiarą chuci zmysłowych...

Wszelako bodaj czy w którym z tylu utworów Gorkiego pomieszały się w równie wysokim stopniu instynkty pierwotne bezładu płciowego, powodując degeneracyę całych pokoleń, z teoryami anarchii polityczno-społecznej, jak w dramacie pt. „*Posliednije*" (*Ostatni*). Dramat ten, to przedstawienie aż nadto realistyczne okropnej Geheny życia rodzinnego rosyjskiego z wszystkimi jego najdrastyczniejszymi szczegółami, najprawdopodobnymi, a mimo to prawdziwymi... Dramat ten — to ilustracya jak najwierniejsza faktów, wydarzających się codziennie w rodzinie rosyjskiej, której węzły rozluźniła do reszty tak zw. „rewolucya". Brak podstaw moralnych w życiu rodzinnem rywalizuje tutaj skutecznie z chęcią użycia za jakąkolwiek cenę. Dewastacya zaś, jaką widzimy w najprostszych, ale zasadniczych zagadnieniach moralnych, jest tutaj tak wielka, że nie wiadomo, komu w tej mierze przyznać pierwszeństwo: rodzicom czy dzieciom?...

A gdyby zapytać się, skąd czerpała owa anarchia moralna siły, pozwalające jej na trwały rozwój?

Odpowiedź na takie pytanie bardzo prosta: nie bez winy byli rozmaitego gatunku przewrotowcy, ale nie bez winy byli też ludzie, powołani przez rząd do przestrzegania ustaw i porządku publicznego. Najsilniejszą podnietą anarchii moralnej było to, że sfery rządzące dawały z góry przykłady aż nadto liczne bezprawia, dokumentując tem samem, że prawo jest niczem wobec przemocy brutalnej. Anarchię tę krzewiono przez niepewność życia, wolności i mienia, skoro tym zasadniczym prawom obywatelskim zagrażały na każdym kroku sądy wojenne, wydające wyroki śmierci częstokroć na podstawie błahych poszlak, lub, co gorsza, na podstawie doniesień szpiegów lub prowokatorów, wreszcie przez zesłania w drodze administracyjnej, a zatem nawet bez sądu! Krzewiono ją wreszcie przez tłumienie oświaty sfer robotniczych, które wydawano na demoralizujące wpływy knajpy i grasujących w niej najgorszych szumowin społecznych. Ale też i agitacya rewolucyjna zawodowych konspiratorów, nie rozumiejących życia i nie znających duszy ludzkiej, nie mogła podnieść kultury mas, skoro sankcyonowała wszelkie środki walki...

W sam środek zarówno agitacyi rewolucyjnej, jak nie mniej deprawacyi, szerzonej przez władze, wprowadza nas Gorkij w przedługiej powieści p. t. „*Życie niepotrzebnego człowieka*", w której wykazał sporo bystrej obserwacyi, jakkolwiek dla ludzi o kulturze zachodniej niejedno tutaj może wydać się nieprawdopodobnem, jak gdyby zostało wykrojone z jakiegoś straszliwego romansu kryminalistycznego.

Owym „niepotrzebnym człowiekiem" jest Jan Klimkow. Bo i pocóż w istocie urodził się?... Chyba na ciągłą nędzę i poniżanie bez końca! Osierociał już w czwartym roku życia, kiedy ojciec jego padł od kuli kłusownika. Niedługo cieszył się też pieszczotą matki, która zmarła nagle podczas żniwa, kiedy malec miał lat siedm zaledwie. Sierotę zabrał do siebie wuj Piotr, kowal wiejski. I oprócz niego jednego znęcali się nad sierotą wszyscy, tak swoi, jak i obcy: dzieci w szkole, młodszy syn wuja Piotra Jakób, wreszcie wujenka, nikt z nich nie szczędził razów bolesnych chłopczynie. Z obawy nieustannej przed złośliwością ludzką uciekał chłopczyna na zapadłe miejsca ustronne lub do kuźni wujowskiej, gdzie czuł się zupełnie bezpiecznym i mógł swobodnie oddawać się dumaniom, które doprowadziły go do wniosku, iż wszyscy znęcają się nad nim dlatego, że on musi być innym, aniżeli oni. Dumania te okazały mu też nową prawdę, tę mianowicie, że ogół ludzi jest zły, że wszyscy okłamują się nawzajem, piją, staczają krwawe bójki, obrażają się ciężko, że całe życie pełne jest strachu, waśniącego ludzi pomiędzy sobą...

Kiedy mały Janek ukończył naukę w szkole wiejskiej, wuj Jakób zawiózł go do miasta, gdzie umieścił go u antykwarza. Z tą chwilą życie malca zmieniło się najzupełniej. Nowy pan był dobry, nie bił nigdy, nie przezywał ani nie przeklinał chłopczyny, a jeśli dawał nauki, to w sposób rozumny i łagodny:

— „Nie czytujesz książek — mówił razu jednego — i to dobrze tak. Gdyż książka... mówi o wszystkiem, rozdra-

żnia wyobraźnię i zatrważa niepotrzebnie. Dawniej były ładne historyczne książki, ludzi spokojnych opowiadania o przeszłości, teraz zaś każda książka pragnie zaszczepić w tobie nienawiść do życia i zepsuć człowieka, który powinien żyć spokojnie i ciałem i duchem, ażeby obronił siebie od dyabła ciekawości i od mrzonek, pozbawiających go wiary... Książka nie jest szkodliwa dla człowieka tylko na starość, kiedy go broni od przemocy własny ludzki rozum"...

Kiedy jednak dowiedział się chłopczyna od utrzymanki swego pana, iż starzec stoi na usługach policyi, nie przeszkodził nawet wówczas, kiedy utrzymanka udusiła jego chlebodawcę. Że jednakowoż miała ona stosunek z ajentem ochrany Dorymedontem Łukiczem, przeto zbrodnię zatuszowano. Piękna zaś Raisa, która prz niosła się teraz na mieszkanie do dawnego kochanka, w obawie, iżby chłopak nie zdradził jej przed obcymi, zabrała Klimkowa ze sobą, Łukicz zaś wystarał się dla niego o zajęcie biurowe w kancelaryi policyjnej. Życie Klimkowa poszło odtąd po zupełnie nowej drodze.

W brudnej sali stało wiele stołów, przy których siedziały po dwie lub trzy osoby, zajęte pisaniem i paleniem papierosów lub odganianiem się od natarczywości much. We drzwiach stali żołnierze policyjni, wpuszczając po kolei strony interesowane. Wszyscy urzędnicy i pisarze, zarówno młodzi jak i starzy, mieli pewne cechy wspólne: łatwo popadali w rozdraźnienie, krzyczeli, wyszczerzając zęby i wymachując rękoma.

Klimkow przyzwyczaił się prędko do nowego zajęcia: z pokorą poddawał się rozkazom wszystkich i gotów był każdej chwili na usługi. Również przestały go razić powtarzające się codziennie: skargi, płacze, łajania oficerów i złośliwe uwagi kolegów biurowych. Dzień bowiem jeden był tutaj zupełnie podobny do drugiego, często bito ludzi po twarzy, wyrzucano za drzwi, często płynęła krew; niekiedy stójkowi przyprowadzali aresztantów, powiązanych sznurkami, pobitych, jęczących z bolu. Najlepiej jeszcze trzymali się złodzieje, uśmiechający się do urzędników, jak zwykli czynić dobrzy znajomi; pozostający zaś pod nadzorem policyjnym przestępcy polityczni zachowywali się wprost wrogo. Wszelako największej ciekawości budzili ajenci polityczni, wiecznie milczący i surowi, o których zarobkach opowiadano sobie niestworzone historye z jawną zawiścią. I co najważniejsze, iż tutaj nikt nie litował się nad nikim...

W domu jednakowoż było o wiele nieznośniej, aniżeli w kancelaryi policyjnej. Osobliwie niemożliwym okazywał się Dorymedont Łukicz, ilekroć podczas obiadu, przerywanego gęsto czkawką, zaznajomić starał się Klimkowa z poglądami swoimi na przewrotowców:

— „Ludzi tych wcale nie pragniemy ostatecznie wygubić — są oni dla nas niejako iskrami i powinni ukazywać nam, gdzie właściwie zaczyna się pożar. To mówi Filip Filipowicz, a on sam jest z politycznych i w dodatku żyd... To bardzo delikatna gra"!..

Również nie miał Klimkow spokoju ze strony Raisy, która tak długo narzucała się chłopakowi z propozycyami miłosnemi, dopóki nie uwiodła niewinnego Klimkowa. I kto wie, na jakie bezdroża nie byłaby sprowadziła chłopca rozpustnica, gdyby nie przypadek fatalny.

Oto — pewnej nocy wpadł do domu Dorymedont, zbity do krwi przez robotników, których śledził. Wobec tego, nie pozostawało mu nic innego do uczynienia, jak przenieść się do innego miasta. Pomimo próśb i groźb, Raisa odmówiła dalszego współżycia. Kiedy zaś kochanek zagroził jej doniesieniem o zaduszeniu Raspopowa, Raisa po pijanemu kończy samobójstwem. Klimkow został nagle bez dachu nad głową. Szczęściem przyjął go na mieszkanie stary urzędnik policyjny kapitan Iwanowicz, przezwany Dudką, Dorymedont zaś dał mu na pożegnanie pięć rubli wraz z radą następującą:

— „Żyj ostrożnie. Ludziom nie wierz, kobietom — tem mniej. Wartość pomiędzy znaj. Za srebro — kupuj złoto — składaj, miedzią — nie gardź, żelazem — broń się, jest takie kozackie przysłowie". (D. c. n.) *Dr. St. Zdziarski.*

Śpiew kościelny na wsi polskiej.

Pod powyższym tytułem wyszła tego roku we Lwowie broszura X. Dr. Stan. Żukowskiego nakładem Zarządu Głównego T. S. L., która porusza sprawę bardzo ważną, dziw, że dotychczas należycie nie przeprowadzoną. Autor podkreśla znaczenie pieśni religijnej, zwłaszcza ludowej, która jest wyrazem uczuć, jakie wieśniak względem Boga żywi, więc modlitwą jego serca, a równocześnie środkiem oddziaływającym na drugich, więc pewnego rodzaju apostolstwem. Duże pedagogiczne i narodowe znaczenie ma ona i dla dziecka. Należy to wyzyskać już w domu rodzinnym, a później prowadzić w szkole, do czego przedewszystkiem powołana jest nauczycielka, tak dla większego podobieństwa, jakie ma jej głos z głosem dzieci, jak też dla większej szlachetności i subtelności duszy, aniżeli dusza nauczyciela. Mogłaby uczyć i ziemianka i to miałoby wielki wpływ na usunięcie niechęci między wsią a dworem. Wybierać należy pieśni proste, naprawdę ludowe i liczyć się z tradycyą każdej wsi polskiej, co bardzo słusznie podkreśla. Uczyć „non multa sed multum", ale dobrze, tak, by pieśń stała się własnością, dzieci oprzeć się można na śpiewniku X. Siedleckiego. Szkoda, że autor nie zaznaczył faktu, iż tekst wielu pieśni jest w tym śpiewniku bezmyślnie zepsuty.[1]) Unikać pieśni, które są tłumaczeniami z obcych języków, bo rażą cudzoziemczyzną. Daje jeszcze autor sporo uwag już więcej praktycznych o oddechu, deklamacyi, wtórze, instrumencie i o walce z organistą, o ile ten psuje czystość melodyi. Jednem słowem, autor podaje kardynalne zasady, których się trzeba trzymać, by celowo i bez nadzwyczajnych wysiłków można było podnieść śpiew religijny. Na zakończenie muszę stwierdzić z żalem, że broszurka wydana jest bardzo niedbale, korekta jest fatalna, a nie brak też i błędów językowych.

Cieszyć się należy, że poruszył sprawę śpiewu kościelnego ktoś, kto go dokładnie zna i serdecznie kocha, ale należałoby pójść nieco dalej. Nie chodzi mi o stronę techniczną, bo na tej się nie znam, ale o opiekę, jakiej każdy ksiądz, nawet najmniej muzykalny, może śpiewowi udzielić. Byłem w rozmaitych stronach i zwracałem zawsze baczną uwagę na to, jak gdzie śpiew wygląda, głównie z liturgicznego punktu widzenia. Nabożeństwa parafialne, w czasie których lud nie śpiewa pięknie, i jemu samemu się nie podobają, a ludziom kulturalnym wprost uniemożliwiają modlitwę. Nieraz już dziękowałem Bogu, że mię nie obdarzył wielką muzykalnością. Słyszałem raz „Święty Boże" w pewnym kościele, gdzie zakonnice są kolatorkami, tak ohydnie śpiewane, iż nie można było absolutnie spowiadać. Miało się wrażenie, że nagle jarmark się zrobił w kościele, tak śpiewali bez taktu i w różnych tonacyach. O całe słowa zostawali jedni za drugimi. Ale za to był chór, który wyśpiewywał kantaty i każdą pieśń na jakąś inną melodyę, jedną bardziej cieplarnianą od drugiej. Taki śpiew tylko dokucza, ale już boli brak śpiewu. Wprost przygnębiającego doznaje się wrażenia, jeżeli się widzi, że zeszły się dzieci w niedzielę na mszę „szkolną" na godz. 9-tą z dziewięciu szkół i w kościele panuje grobowa cisza. Dzieci się nudzą, zachowują niespokojnie, a msze wspólne pozostaną im w pamięci jako jedno z utrapień szkolnych. To już

[1]) Por. bibliografię nru ostatniego G. Kośc.

niedbalstwo występuje z brzegów, do którycheśmy przywykli. W niektórych okolicach młodzi nie umieją śpiewać i nie znają pieśni, zwłaszcza tam, gdzie od początku wojny na każdej somie śpiewa się tylko „Przed oczy Twoje Panie" i „Święty Boże". Ludzie nabrali w tem takiej wprawy, że śpiewają to tak prędko, jak się śpiewało w Królestwie „Te Deum" za cara.

Jeśli zaś w czasie nabożeństwa śpiewa cały kościół, równo, ze serca, pobożnie, naprawdę modli się, to i kapłan, mając za sobą rozmodlone dusze, inaczej mszę odprawia i z większą ufnością ofiaruje pro circumstantibus. Takie nabożeństwo w niejednym zobojętniałym, zwłaszcza z inteligencyi, budzi uczucie religijne, albo przynajmniej żal, że nie może razem z tym ludem klęknąć i wszystkich swoich trosk smutków czy radości wyśpiewać przed Bogiem. Szczególnie „Gorzkie żale", „Święty Boże", „Nieszpory", kolendy mają ten magiczny wpływ. Przyznał się do tego w ostatnim czasie i Przybyszewski w swojej autobiografii.

Podniesienie śpiewu nie jest rzeczą trudną, mówią o tem fakta. Dla przykładu mogę przytoczyć dwie miejscowości z archid. lwow o. łać. (są naturalnie i w innych dyecezyach), gdzie śpiew ludu w czasie nabożeństwa podniesiono wysoko. Nie tylko cały lud tam śpiewa i dobrze śpiewa, ale zna także wiele rzeczy, związanych z ceremoniami kościelnemi, n. p. nieszpory żałobne na dzień zaduszny śpiewa cały kościół. Co za wrażenie wywiera nabożeństwo, gdy lud wiernie a z przejęciem śpiewa „Libera" lub „Salve Regina" — czy kiedy indziej „Te Deum". Inaczej też wyglądają ceremonie niedzieli palmowej czy wielkiego tygodnia, jeśli nie sam organista je wyśpiewuje choćby najpiękniej, ale gromada ludzi, z kilkadziesięciu osób złożona. Wówczas każdy czuje, że to nie tylko mówią o chwale Bożej, ale i robią coś, by ta chwała Boża jakoś wypadła. Miło jest uczestniczyć w takiem nabożeństwie, a i najniechętniejsi przyznają, że »nasi księża« są gorliwi i czoło przed nimi schylić muszą. Przypomina mi się także jedna miejscowości dyecezyi przemyskiej, gdzie cały kościół śpiewa w święta Matki Boskiej „Boga Rodzico, Dziewico, Bogiem sławiona Maryo".

Nigdzie naturalnie od trudnych rzeczy nie zaczynano Środki, jakich używano, były rozmaite, zależnie od tego, kto gdzie był chętny i odpowiedni. W jednem miejscu dwór, w drugiem szkoła, w trzecim organista, gdzieindziej jeszcze sam ksiądz. Mogą być wypadki, że trzeba za naukę płacić. To mi się jeszcze najbardziej podoba, bo wówczas nie zaciąga się za pracę nie wielką dużych długów wdzięczności. Koszta może pokryć ksiądz, albo też poniesie je chętnie i sam chór. Znam wypadek, gdzie 20—30 sług składało się co niedzieli po parę centów, by zapłacić organiście za godzinę nauki śpiewu. Na wsi zrobią to tem chętniej.

Zawsze jednak ksiądz odgrywa w tej sprawie rolę bardzo ważną. Najłatwiej mu ludzi zebrać, on też wie, kto w parafii dobrze śpiewa. Na początek wybrać 30—50 osób, mężczyzn i kobiet, ale najmuzykalniejszych, by nauka szła szybko, i w nich obudzić miłość do śpiewu przez nauczanie na początek rzeczy łatwych, prostych a efektownych. Gdyby się zaczęło n. p. od oczyszczania melodyi »Święty Boże«, toby się z pewnością udało tylko zniechęcić. Ludzie ci zresztą i tak, pośpiewawszy razem jakiś czas, choćby tylko miesiąc, wyrobią sobie smak i powoli zaczną sami wszystko poprawiać. Rzeczy nowe wysuwam i dlatego, że to pobudza ich ambicyę, stawia ich wyżej przed ogółem, jednoczy czemś wyższem i potem za tą jedną ambicyą mogą iść drugie, n. p. gospodarcze i kulturalne. Jeśli się już ma jaki taki chór, wówczas przypomnienie z ambony, że należy śpiewać równo, nie przeciągać i t. d. ułatwi naszym pionierom zadanie. Gdyby to nie wszystkim pomogło, możnaby pod kościołem, po nabożeństwie ośmieszyć te wyciągające niewiasty, śpiewające we trzy na cztery głosy.

Ogromne znaczenie dla śpiewu, o ile ma być modlitwą, ma egzegeza tekstu pieśni. Zanim się zaczną uczyć, przeczytać im przedewszystkiem te zwrotki, które mają w kościele śpiewać. Jest to wogóle potrzebne, a szczególnie dlatego, że często szwankuje interpunkcya w wydaniu książkowem i lud nie rozróżnia zdań tam, gdzie zdanie nie schodzi się z wierszem i przez to nie chwyta treści. Z doświadczenia wiem, jak podobne wyjaśnienie wpływa dodatnio na odnoszenie się ludu do pieśni. Unika się też przez to owych sławnych: „Bij że go gonie go", lub „dusza w uściskach prawie ustaje" i t. d. Kontrolę powinno się rozciągnąć i nad doborem pieśni, które ma się śpiewać w czasie mszy. Niejednokrotnie bezmyślność jednych idzie w parze z niedbałością drugich. Można przecież wybierać pieśni, związane nie tylko z rokiem kościelnym, ale i z poszczególnemi częściami mszy św. i uniknąć takich kwiatków, jak śpiewanie „A wczora z wieczora" po Podniesieniu, kiedy mamy »Ach witajże pożądana«, czy „Niepojęte dary" i t. p. Później można pomyśleć o śpiewach łacińskich i oczyszczać je, ale to już bezwzględnie, by »Haec est dies« n. p. nie śpiewano na modłę kołomyjki.

Chórem można działać na cały kościół, ale chóru nie prowadzić na chór — chyba tylko kilku mężczyzn. Ta galerya, którą kawalerowie zamienili na obserwatoryum dziewcząt a podtatusiali na wygodną lożę drzemkową, nie nadaje się do tych celów. Jeśli się tam śpiewa, to śpiew wygląda na popis i umacnia u ogółu przeświadczenie, że to, co śpiewają, to nie dla wszystkich. Chór swój, który ma pewne głosy i dobrze przyswojoną melodyę, rozmieszcza się po kościele, — słabszych po 2—3 osoby, mocniejszych pojedynczo, wówczas odnosi się wrażenie, że cały kościół śpiewa i sąsiedztwo każdego ze śpiewających powoli się do niego przyłącza, co można udogodnić przez wywieszenie przy wejściu do kościoła pieśni (tytuły lub numery), które będzie się śpiewało.

Oto kilka uwag, któremi ośmielam się podzielić z Konfratrami. Inni mogą te rzeczy lepiej zrobić niż ja, bo ja niewiele mam danych po temu. Wiele by się też przyczyniło do podniesienia nabożeństwa, gdyby podobne kwestye stawały się między innemi przedmiotem kongregacyi dekanalnych, które według nowego Kodeksu mają się odbywać więcej razy w roku.

Niemuzykalny.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Uczczenie X. Arcybiskupa Hryniewieckiego. Na pamiątkę złotego jubileuszu kapłańskiego, który obchodził w listopadzie r. z. X. Arcyb. Hryniewiecki, (o czem pisaliśmy w swoim czasie), postanowił zawiązany w tym celu komitet postarać się o odbicie medalu pamiątkowego. Medal ten wręczył uroczyście Najprz. Jubilatowi dnia 1. bm. JE. X. Metropolita dr. Bilczewski w obecności X. Arcyb. Teodorowicza, X. Bisk. Twardowskiego, grona Litwinów, zamieszkałych we Lwowie i innych osób X. Metropolita w pięknem, pódniosłem przemówieniu wyraził radość z powodu, że Jubilatowi dozwoliła Opatrzność dożyć tak pięknej chwili uznania ze strony ziomków. Zasłużył na nie on, który praw Kościoła i Ojczyzny bronił tak mężnie, a potem znalazłszy się na naszym gruncie, pomimo podeszłego wieku, dotąd nie ustaje w gorliwej pracy dla szczytnych haseł. „My jednak — mówił dalej — w osobie Twojej uczcić chcemy także tych wszystkich szlachetnych synów Litwy, co rozumem stanu, natchnionem słowem, krwią męczeńską złączyli w jedno trzy narody: Polskę, Litwę i Białorusinów. Krótkowidztwo i źli ludzie chcą rozerwać tę spójnię, jednak ufamy, że się im nie uda".

Zakończył Najprzew. X. Arcybiskup życzeniem, by jaknajrychlej owe trzy narody zespoliły się na drodze w promienną przyszłość, lepszą nawet niż była jasna ich przeszłość — i aby chwili tej dożyć dozwoliła Jubilatowi Opatrzność.

Głęboko wzruszony podziękował X. Arcybiskup Hryniewiecki za niezasłużony, jego zdaniem, hołd i wyrazy uznania. Skromnie zaznaczył, że nic nie uczynił ponad spełnienie obowiązku. W r. 63 inni więcej cierpieli, choćby np. brat jego rodzony, który za udział w powstaniu skazany został na śmierć, a ułaskawiony, przez lat szereg więziony był na Sybirze. Także z racyi pracy swej na stolicy biskupiej w Wilnie, X. Arcybiskup nie chce przypisywać sobie nadzwyczajnych zasług. Zastał dyecezyę, niestety, zatruwaną jadem apostazyi. Należało ją ratować,

czego lud domagał się gorąco, cisnąc się do świątyń, błagając ze łzami o posiłek duchowy, którego mu wzbraniano. Stąd wynikła walka z rządem, a w następstwie deportacya i prześladowanie na wygnaniu, aż po 6 latach przyszła amnestya. Ostatecznie po tułaczce we Francyi, przybywszy do Galicyi znalazł tu schronienie i już z nami pozostał.

X. Arcybiskup dziękował w końcu gorąco wszystkim obecnym za okazaną miłość i zakończył życzeniem pomyślnej przyszłości dla Ojczyzny.

Nuncyatura w Pekinie. Przeciw wysłaniu Msgra Petrelli'ego do Pekinu zaprotestowała Francya, ponieważ uważa go za sympatyka Niemiec. Wyłoniła się wówczas kandydatura Msgra Sincero. Prasa niemiecka zaczęła się przedwcześnie z tego cieszyć, bo ten prałat był przez 8 lat attaché przy nuncyaturze w Wiedniu i tem go skompromitowała; do Pekinu zaś pojedzie Msgr. Pisani, którego sympatye dla ententy są powszechnie znane. Ponieważ rząd chiński nie dał mu jeszcze swego przyzwolenia, więc jest wielkie prawdopodobieństwo, że Francyi uda się zatrzymać nadal opiekę nad katolikami w Chinach.

Obawy masoneryi francuskiej. Wzrost „klerykalizmu“ we Francyi zaniepokoił ogromnie „braci“. W wezwaniu na kongres w Tours na połowę sierpnia wskazują, że znowu księża rozmaitych kategoryi powrócili do Francyi — a ustawa o rozdziale Kościoła od państwa poszła w zapomnienie; wobec tego żądają: utrzymania i bezwzględnego stosowania ustawy o rozdziale, usunięcia księży z armii i od wszelkich publicznych funkcyi, zgniecenia wszelkiej monarchistycznej i klerykalnej propagandy, obrony szkoły wolnej, stworzenia związku narodów z wykluczeniem zwierzchnika którejkolwiek sekty „czy to jest papież czy Dalaj-lama“, przestrzegają przed mężami wojny i księżmi, którzy mogą ludowi odebrać wolność, a zaprowadzić na nowo monarchię. Przestroga przed mężami wojny o tyle jest godna uwagi, że generalissimus Foch, bohater dnia, był uczniem Jezuitów w St. Etienne i zdaje się, że należy do katolików praktykujących.

List Episkopatu austryackiego. List, podpisany „Arcybiskupi i Biskupi austryaccy“, wywołał różne zdania w samym obozie katolickim. Już „Głos Narodu“ podniósł, że biskupi polscy tego listu nie znali i nie podpisali, a wobec tego niema on u nas znaczenia i promulgowanym nie będzie, obecnie dowiadujemy się ze „Slovenća“, że biskup lublański, dr. Jeglic, wystąpił w stanowczy sposób przeciw treści wspólnego listu niemieckich biskupów Austryi i stwierdził, że jako nie podpisany przez niego, nie ma on waloru dla dyecezyi lublańskiej. Zwrócił się także przeciw oświetleniu sprawy południowo-słowiańskiej przez list „Episkopatu austryackiego“.

Ukraińcy rzymsko-katoliccy na Podlasiu. „Diło“ w nrze 187. z 21. września r. b. donosi z Brześcia o mowie kanonika katedralnego sejneńskiego Jerzego Maryjewskiego, że w niej ów Litwin nawoływał do odnowienia cerkwi, która przedtem na Podlasiu istniała i do wprowadzenia do nabożeństw języka ukraińskiego, bo P. Jezus i apostołowie przemawiali do ludów w ich ojczystej mowie. Litwini już to osiągnęli, że mogą się modlić w kościele po swojemu. Ukraińcy powinni do tego dążyć. Lud niech słucha tych księży, którzy mówią: „Hospody pomyłuj“ tak samo, jak tych, którzy mówią „Dominus vobiscum“. Mowa ta podobała się korespondentowi, który wysnuwa z niej następujące wnioski: Ukraińcy powinni pójść za przykładem Litwinów, którzy usunęli język polski z kościoła, plebanii, szkoły, z kazań i z nabożeństw. Ukraińcy jeszcze nie zaczęli ratować swojej ludności z bagna polskiego owych 3 milionów łacinników, jeszcze ich sami w nie pchają, mówiąc, że łacinnik to Polak. Dla tych Ukraińców o. łać. powinni być osobni biskupi Ukraińcy, księża Ukraińcy, nabożeństwo ukraińskie, kazania ukraińskie i t. d. Wygnać zaś trzeba z plebanii polskich agitatorów.

Tyle „Diło“. Wartałoby na tę korespondencyę zwrócić uwagę tych księży Polaków na Podolu i Ukrainie, którzy otworzyli dla ruskich „misyonarzy“ z Galicyi swe kościoły i pozwolili im na odprawianie nabożeństw. Uprawiają oni tam więcej politykę ukraińską niż apostolstwo religijne. I tam może okazać się rychło potrzeba ukraińskich biskupów, ukraińskich kazań dla Ukraińców o. ł. a „polskich agitatorów“ zechce się wyrzucić.

Naturalnie, jeśli ktoś szczerze chce pracować dla wiary, należy mu to ułatwić bez względu na narodowość, bo Kościół jest jeden, ale jeśli kto pod pokrywką pracy religijnej służy polityce i nadużywa ambony czy kościoła do spraw partyjnych, to wówczas wszelka pomoc, bez względu na to, czy się jej udziela dla wygody, czy powodując się błędnem zapatrywaniem, jest i pod względem kościelnym fatalną w skutkach, bo odziera religię z jej aureoli ogólno-ludzkiej — ponad narodowej i ponad-partyjnej i pod względem narodowym, bo jest chowaniem żmii w zanadrzu. Społeczeństwo za taką lekkomyślność nie byłoby nam bardzo wdzięczne. Na Ukrainie mieli, a może jeszcze i mają tamtejsi Polacy (szlachta, duchowieństwo, inteligencya) księży i inteligencyę z Galicyi za Ukrainofobów i zdaje im się, że możnaby tak ostrej walki uniknąć. Patrzą zaś na naszych Unitów galicyjskich tak, jak na Unitów z Podlasia. Może nie rychło na własnej skórze przekonają się, że byli w błędzie. Tymczasem jednak dobro — nie ich — ale religijne i narodowe wiele ucierpi. W tej sprawie jedna jest tylko dobra metoda, metoda, stosowana przez Polaków w Galicyi wsch. Pozytywna praca organizacyjna na każdem polu, unikająca nieproduktywnego drażnienia, czujność i baczna uwaga na to, co robi przeciwnik — a nadewszystko jedność wszystkich bez względu na przynależność partyjną. Są sprawy, gdzie niema różnicy stronnictw, a do tych należy: stosunek nasz do Rusinów i do Żydów.

X. Jan Radlica.

Nasze dziwactwa. — „Nosce te ipsum“!

Przedewszystkiem godzi mi się zapytać siebie samego: czy to pisanie nie trafi w próżnię? Czy dojdzie do adresatów? — Boć nie wszyscy księża trzymają i czytają „Gazetę Kościelną“. A do tych właśnie należą zazwyczaj dziwacy, dla których i o których pisać zamierzam. To jest pierwsze dziwactwo, które się spotyka tu i ówdzie na plebaniach po wsiach i miastach, u profesorów i katechetów różnych stopni hierarchicznych. Nie mówię o biedakach, których nie stać na prenumeratę — takich jest mało — ale o większości, która mogłaby ponieść ten wydatek bez uszczerbku dla swego budżetu. Dlaczego wielu nie trzyma i nie czytuje jedynego organu naszego kapłańskiego, duszpasterskiego, jedynego nieraz pośrednika, łączącego nas ze szerszym kościelnym światem? Z dziwactwa. „A co ja tam znajdę nowego? A co ja tam wyczytam praktycznego i interesującego? A tam piszą ludzie nie praktyczni, tam się popisują różni teologowie, teoretycy, nie znający życia parafialnego“ i t. d.

Tak będzie się bronił niejeden, a tymczasem głównym powodem tej abstynencyi — jest zdziwaczenie, jest uprzedzenie, jest pewna zaśniedziałość, zaściankowość, która nie chce od nikogo niczego się pouczyć i douczyć, bo uważa się za wystarczającą sobie samej.

Tacy wię tych uwag czytać nie będą. A jednak piszę o nich i to na wstępie; dlaczego? Bo jest jeszcze cały legion księży, którzy nie doszli do tak skrajnego dziwactwa, choć mają wiele innych dziwactw. Zresztą żaden ksiądz nie jest

urodzonym dziwakiem, bo gdyby nim był w chwili święceń kapłańskich, nie zostałby przecież do kapłaństwa dopuszczony. Dziwak ksiądz podobnie jak i orator, *non nascitur, sed fit*, z czasem, z latami, stopniowo, może i niespostrzeżenie — przynajmniej niespostrzeżenie dla jego własnych oczu. Więc warto przestrzedz młodszych zwłaszcza kapłanów przed różnemi dziwactwami, aby się ich strzegli. Trzeba o tem pisać w organie duchowieństwa, aby księża nie-dziwacy zwrócili większą uwagę na dziwaków i starali się ich uleczyć, lub przynajmniej uczynić mniej szkodliwymi.

Z góry trzeba powiedzieć na obronę księży dziwaków, że oni temu bardzo nie winni, iż takimi się stali. Sposobność czyni nie tylko złodziejem, jak powiada przysłowie, ale także i dziwakiem, a któż ma do dziwactwa więcej pokus i sposobności, jeżeli nie ksiądz na parafii, zwłaszcza proboszcz czy ekspozyt samotny? On jest panem u siebie, więcej nieraz samowładnym niż dawne cary moskiewskie. On jest wyrocznią. Jego ma wszystko słuchać, co żyje na plebanii i w około niej. Jemu się nikt sprzeciwiać nie może. Nikomu nie wolno go krytykować. Każdy się go boi, bo on ma miecz duchowny na ambonie i w konfesyonale, którym nieraz szermuje nie na żarty, a czasem ma w ręku także i kostur gruby, a przynajmniej pięść mocną i żylastą. O jego kancelaryę czyli „urząd parafialny" każdy prawie zawadzić musi. Ustępują mu więc udzie i tolerują różne jego dziwactwa dla świętej zgody, dla miłego spokoju. Chyba, że miarka już się przebrała. Ale wtedy zreformować go już za późno.

Jest wprawdzie ktoś, coby mógł go wyleczyć i uchronić od tych dziwactw, gdyby chciał, a mianowicie księża sąsiedzi, kondekanalni, dziekani, znajomi, przyjaciele. Ale tym nie chce się walczyć z dziwakiem. Co najwyżej ubawią się jego kosztem na odpuście lub na innem zebraniu a zresztą dają mu spokój. Dlaczego? Zdaje im się, że te dziwactwa nie są szkodliwe, że one nie są ani *contra fidem*, ani *contra mores*, więc szkoda brać się do nich na seryo. Prawda, że są pewne dziwactwa nieszkodliwe na pozór, ale i takie są niepożyteczne. Ośmieszają kapłana w oczach wiernych, a i tego unikać się powinno. Nic nie szkodzi tak wierze i pobożności, jak jej ośmieszanie — wiedzieli o tem już w pierwszych czasach chrześcijańskich pisarze rzymscy i greccy i walczyli także i tą bronią z chrześcijaństwem. Nie brakło tej broni w walce z chrześcijaństwem nigdy, aż do dzisiejszych czasów. A że to broń wielce skuteczna, widać najlepiej z tego, jak olbrzymie spustoszenia sprawia ona w kołach t. zw. inteligencyi a zwłaszcza młodzieży, czy to w mieście, czy na wsi.

Ksiądz dziwak jest dzielnym sojusznikiem dla niedowiarków wszelkich odcieni, bo ośmiesza religijność w ich oczach, a przez to poniekąd usprawiedliwia ich niegodziwe postępowanie, — przynajmniej w oczach ich własnych.

Jest to zatem szkodnik, jest to domowy nieprzyjaciel sprawy Bożej, który robi czasem więcej złego niż zwyczajni gorszyciele i świętokradcy, choć na pobór wydaje się inaczej.

Po tych uwagach wstępnych, potrzebnych dla należytej oceny naszych dziwactw, przystąpmy do ich zestawienia. A że *qui bene distinguit, bene docet*, podzielmy je na kategorye. A więc są dziwactwa w ubiorze, są dziwactwa w śpiewie, dziwactwa w kazaniach, w konfesyonale, w zakrystyi, w odprawianiu Mszy św., w administrowaniu Sakramentów św., zwłaszcza Komunii św., dziwactwa w szkole, w towarzystwie.

Zacznę od dziwactwa w ubiorze. *Vestis non facit monachum*, powiada stare przysłowie, całkiem słusznie. A zatem: vestis non facit etiam clericum, non facit sacerdotem. Jednak potrzebna i tu pewna uniformitas, nie tylko dla wyróżnienia księży, ale także dla podniesienia ich czci i powagi w oczach wiernych.

Na czem strój duchowny polega, wiemy dobrze wszyscy. Wiemy także, że zwyczaj krajowy pozwala na pewne dość znaczne różnice, zwłaszcza na dzień powszedni, po za kościołem. Nie trzeba się więc zbytecznie na tym punkcie gorszyć rozmaitością szat, jakie noszą kapłani, bo to trąci pewną przesadą i zaściankowością. Lecz *est modus in rebus, sunt certi denique fines*. Trzeba unikać dziwactwa w tym względzie, a dziwactwem jest, jeżeli ksiądz sądzi, że może ignorować wszelkie w tym względzie przepisy i nosić na głowie nakrycie, jakie są mu żywnie podoba i ubrania wszelakich krojów i kolorów. Nie mówię ja tu o czasach wojennych, bo one zmuszają niejednego do rozmaitych ekscentryczności, zwłaszcza naszych poczciwych kapelanów wojskowych, ale o czasach normalnych. Ileż to pod tym względem było u nas rozmaitych dowolności, czyli po prostu dziwactw! Jeżeli kilku księży szło razem na ulicy, to prawie każdy z nich był inaczej ubrany. Widziałem u nas proboszcza ubierającego się do jazdy wózkiem w lecie w kask płócienny, jaki noszą żołnierze angielscy w Egipcie i w białą opończę beduinów! Przywiózł sobie te rzeczy z podróży po Afryce i sądził, że może w nich paradować po okolicy na zjazdach odpustowych! Trzeba dodać, że dla uzupełnienia cudaczności powoził sam w tym stroju, sadzając stangreta w tyle za sobą! Widziałem księży ubierających się na lato całkiem na biało w ubranie świeckie. Nawet jeden z nich uspokajał mnie, żebym się tem bardzo nie gorszył, bo choć jest biało ubrany, to jednak wnętrze ma czarne tak jak i inni księża! (Ale to nie był ksiądz polski).

Mamy nadzieję, że wszystkie dzielnice Polski zjednoczą się kiedyś i wtedy synod narodowy unormuje tę sprawę.

(Dok. nast.) *X.*

Z praktyki pasterskiej.

Otrzymujemy następujące zapytanie:

„Upraszamy o łaskawą odpowiedź w „Gazecie Kościelnej" na następujące kwestye aktualne:

I. Coraz częściej zdarzają się w ostatnich miesiącach wypadki, że jeńcy wojenni Polacy wracają z niewoli rosyjskiej z żonami, a niekiedy i z dzieckiem. Niejeden przynosi z sobą świadectwo ślubu (oczywiście po rosyjsku). Ślub brał, w głębokiej Rosyi w cerkwi prawosławnej schyzmatyckiej, tam też chrzcił dziecko, które się urodziło z tego małżeństwa. Co sądzić o ważności ślubu — o ważności chrztu dziecka — czy i o ile obciążył jeniec swoje sumienie, biorąc ślub w cerkwi schyzmatyckiej? Jak postąpić z nim, gdy się zjawi przy konfesyonale?

II. Coraz częściej zdarza się wypadek, że Rosyanin schyzmatyk zostający w niewoli austryackiej, a przebywający dłuższy czas na robotach w gospodarstwach wiejskich, zaznajomi się z dziewczyną naszą i pragnie z nią uczciwie zawrzeć związek małżeński. Czy mu można ułatwić rzecz i w jaki sposób? O ile pomnę, zakazał nasz ck. rząd udzielać ślubów małżeńskich jeńcom rosyjskim, ale to jeszcze w r. 1917 czy 1916. — Czy obecnie, gdy Rosya wycofała się z wojny i pozostaje w przyjaznych stosunkach z austr. monarchią, ma jeszcze moc wspomniany zakaz? Jeniec rosyjski gotów przy-

jąć wiarę katolicką i obywatelstwo austryackie. Co on ma robić, względnie duszpasterz, do którego jeniec zgłosił się o pomoc, by małżeństwo valide et licite przyszło do skutku?

X. W. M.

Odpowiedź tymczasowa.

Według rozporządzenia, ogłoszonego w Kurendzie lwowskiej (nr. X. z r. b.), mają Urzędy paraf. przekonywać się przez wypytywanie jeńców, wracających z Rosyi z żonami, czy małżeństwo ich jest ważne, a ewentualnie konwalidować je — servatis servandis — o ile to będzie rzeczą możliwą i o załatwieniu sprawy Konsystorz powiadomić, przedkładając spisany protokół; w każdym zaś wypadku wątpliwym zwrócić się do Konsystorza o podanie potrzebnych wskazówek.

Co do jeńców, którzy chcą wejść w związki małżeńskie w parafii naszej, sądzimy, że także trzeba każdą taką sprawę przedłożyć Konsystorzowi do rozstrzygnięcia. *Red.*

Bibliografia.

X. Grabowski Józef, em. proboszcz solecki. **Obraz walki kulturnej w Prusach 1872 do 1886.** Na tle własnych doświadczeń. Nakładem Księgarni św. Wojciecha. Poznań 1918. Str. 80. Cena 1·60 mk.

Tytuł tej broszury zapowiada znacznie więcej niż treść jej zawiera w rzeczywistości: nie jest to bowiem „obraz walki kulturnej“, ale tylko opowiadanie o przykrych przejściach samego Autora w czasie tej walki. Są w tem opowiadaniu szczegóły zajmujące, ale nie brak i wspomnień drobiazgowych, które można było bez szkody opuścić jak np. to, co czytamy na str. 66 o dziekanie Sąchockim, albo na str. 63 o odwiedzinach hrabiny. Zresztą broszura czyni wrażenie bardzo sympatyczne, bo poznajemy z niej szlachetną duszę czcig. Autora, który w r. b. obchodzi jubileusz 60 letniej pracy kapłańskiej. *X. P.*

Śpiewniczek młodzieży polskiej Opracował X. W. Świerczek. Zeszyt II. Nakładem X. X. Misyonarzy, Kraków, — Nowa Wieś, 1918. Stron 108. Cena 2 k.

Zeszyt pierwszy tego śpiewnika polecił bardzo gorąco X. S. G. w Gaz. Kośc. z r. 1917 (str. 249). Te same zalety trzeba n. zd. przyznać i zeszytowi II., w którym znajdujemy 72 pieśni wraz z nutami. Są to prawie wyłącznie pieśni patryotyczne, tak ulubione przez młodzież naszą. Wydanie jest staranne i piękne.

N.

Ze Związku XX. Katechetów.

Z K. B. K. otrzymaliśmy pismo następujące:

Wielebny Związek Księży Katechetów

we Lwowie.

Komitet nasz pragnie, podobnie jak zeszłej zimy, przyjść najbiedniejszej polskiej młodzieży lwowskich szkół ludowych i średnich z pomocą w postaci obuwia z drewnianemi podeszwami, o ile spodziewany transport tego obuwia nadejdzie.

Zwracamy się przeto do Wielebnego Związku z uprzejmą prośbą o łaskawe polecenie Wielebnym Księżom Katechetom, by zechcieli sporządzić wykaz najbiedniejszej a potrzebującej obuwia młodzieży w swoich szkołach i przesłać nam go najdalej do 10 października br.

Ewentualne odzielenie obuwia nastąpi dla młodzieży przez Wielebny Związek.

Z poważaniem:

Sekretarz: *I. Przybyła*

Prezes: *X. Dr. I. Zajchowski*

Z Towarzystwa wzaj. pomocy Kapłanów.

Dnia 19. września 1918. odbyło się posiedzenie Wydziału centr., na którem po odczytaniu protokołu z ostatniego posiedzenia:

1) przyjęto do wiadomości sprawozdanie z czynności Zarządu i sprawozdanie kasowe. — Stan kasy w dziale wzajemnej pomocy wynosi dziś 222.788 69 kor.

2) Przyjęto do wiadomości sprawozdanie z administracyi kamienic przy ul. Murarskiej 47 i 49.

3) Uchwalono sprawę sprzedaży realności przy ul. Łyczakowskiej 25 przedłożyć do rozstrzygnięcia Zgromadzeniu Delegatów.

4) Uchwalono zwołać Zgromadzenie Delegatów na dzień 8 października 1918.

5) Podwyższono płacę dozorcy na 80 K miesięcznie.

6) Uchwalono sprawę procesu o spadek po śp. X. Stanisławie Korzeniowskim przedłożyć do rozstrzygnięcia Zgromadzeniu Delegatów.

7) Uchwalono wypłacić inżynierowi za sporządzenie kosztorysu i planu odbudowy domów w Worochcie kwotę 4689·79 kor.

8) Przyjęto do wiadomości sprawozdanie z wydawnictwa Gazety Kościelnej.

We Lwowie dnia 29 września 1918.

Od Wydziału Centr. Tow. Kapłanów

Murarska 49.

X. J. Janusiewicz. sekretarz

X. Dr. A. Pechnik za prezesa.

Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

D. 9-go b. m. będzie przedmiotem obrad kwestyonaryusz przesłany przez Najprzew. Konsystorz Metrop. w sprawie zmian, projektowanych w tekście katechizmu na podstawie nowego kodeksu prawa kanonicznego, poczem będzie mówił X. Dr. Gerstmann o nowych przepisach kościoła co do głoszenia Słowa Bożego.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyec. lwowska ob. łac.

Mianowany X. Jan Dudzik, kooperator w Łopatynie, administratorem tamże.

Przeniesieni XX.: Józef Błotnicki z Chlebowic Wielkich do Połupanówki jako ekspozyt (a nie, jak pierwotnie, do Bolechowa); Błażej Jurasz z Lisowiec do Sasowa (w miejsce chorego X. Józefa Adamczyka); Antoni Karczmarczyk z Wojsławic do Bełza; Zygmunt Kozaczewski z Chołojowa do Wojsławic, jako ekspozyt; Antoni Kubasik z Rzęsny polskiej do Ostrowczyka, jako ekspozyt; Władysław Pokiziak z Rakowca do Batyatycz, jako ekspozyt.

Przeznaczeni na kooperatorów XX.: Andrzej Filipek, dotychczas na urlopie, do Bolechowa; Władysław Kwiatkowski do Kosowa (ad personam).

Dyec. krakowska.

Zmarł X. Franciszek Domaradzki C. M. w 76 r. życia a 49 kapłaństwa. — *R. i. p.*

Dyec. tarnowska.

Przeniesiony X. Stanisław Rodak, zamiast do Tymbarku do Żdżarca.

Powołany na kapelana wojskowego X. Michał Chłoń, wik. w Gręboszowie.

Zmarł X. Karol Suwada, prob. w Borowej, w 39 roku życia a 15 kapłaństwa. — *R. i. p.*

Na fundusz wydawniczy Gaz. Kość. złożyli P. T. Księża: Mateusz Jeż (z Krakowa) s t o K, Jan Jasiak (z Krynicy) 10 K, Władysław Bażyński (z Łoszniowa) 11 K, Józef Gros (z Sułkowic) 6 K, Władysław Osmolski (z Cerekwi) 6 K, Aleksander Kierośski (ze Lwowa) 10 K.

OGŁOSZENIA.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77